

Dobra zmiana

Jak wszyscy wiemy, w ostatnim roku troszkę się pozmieniało w przepisach drogowych. Mandaty za wykroczenia (najczęściej przekroczenia!) wzrosły często wielokrotnie. Nie da się ukryć, że zdecydowana większość automobilistów przestrzega ograniczeń.

Przynajmniej kilka razy w miesiącu jeżdżę na swoją działkę, mijając po drodze Prawęcice, Poddębice tudzież inne „krócej zabudowane” miejscowości. Ubiegłego lata nie mogłam przez kilka minut trzymać się spokojnie swojej pięćdziesiątki, aby cały rząd lepszych wozów nie wyprzedzał mnie pogardliwie (?): „Ledwie człapie, w dodatku Panda”, z astronomiczną prędkością ginąc w mgnieniu oka za horyzontem. Teraz zwykle przez całe Prawęcice różne niezłe auta (może cichutko sapiąc z wściekłości?) trzymają się grzecznie za mną, nie wychylając żadnego lusterka, aby zobaczyć „czy się da...”.

Prawęcice... kiedyś tam właśnie miejscowi rolnicy przyjmowali do opieki i pomocy w pracach polowych pacjentów z łódzkiego szpitala im. Babińskiego – obie strony były zwykle zadowolone. Czy ktoś to jeszcze pamięta?

Poddębice zaczynają się laskiem, stacją benzynową, „wystawkami” niemieckimi i holenderskimi. Na tym odcinku wielu kierowców (mijając odnośny znak drogowy) nie przestrzega ograniczeń. Choć takich kierowców jest na oko (na koło!) ze cztery razy mniej niż w ubiegłym roku. W sercu Poddębic jeżdżą przepisowo.

Największa dobra zmiana dotyczy ustawowych (pasiastych) przejść dla pieszych. Wsiadam więc z auta i do końca felietonu idę pieszo.

Przyznam bez bicia (i bez specjalnego wstydu), że zdarzało mi się przeciętnie raz w miesiącu – po stwierdzeniu, że do granic widzenia żadnego pojazdu na drodze nie widać – spokojnie przechodzić na czerwonym (zwykle z barwnymi, głośnymi protestami osób przestrzegających kolorów świateł). I tak się jakoś złośliwie składało, że przynajmniej raz w roku albo doganiał mnie po drugiej stronie ulicy wóz policyjny, albo wychynał z ukrycia wołając: „przecież ludzie dawali pani znaki, że czyhamy”. No i po krótkim wykładzie dostawałam mandat za sto złotych. Nie wiem, ile teraz kosztuje taka przyjemność, więc „wykraczam” znacznie rzadziej.

To tylko dygresja. W przestrzeni miejskiej jest nieskończona liczba przejść dla pieszych, tzw. „zeber” bez żadnych świateł. Bardzo rzadko, ewentualnie z migającym ostrzeżeniem, kierowca niereagujący na zamiar pieszego przekroczenia ulicy, może dostać mandat 1 500 zł. To wciąż jest jakiś pieniądz, nawet przy galopującej inflacji. Co prawda nie

widziałam nikogo płacącego mandat.

Nie wiem, czy gromadne zatrzymywanie się pojazdów przed chętnymi wkraczającymi, stojącymi przed pasami, czy te z dochodzącymi do nich z chodnika wynika głównie z obawy przed mandatem. Mam wrażenie, że raczej takie zachowanie zdążyło już wejść kierowcom w krew, stało się dobrym, eleganckim obyczajem, może – tu i ówdzie – wspomnienie jazd na tzw. Zachodzie.

To, co powiem, nie zabrzmi może przekonująco, ale tak to czuję. Zmarnowani epidemią, wojną w Ukrainie, inflacją plus przypisanymi do zaawansowanych peseli własnymi chorobami, wciąż narastającą liczbą znajomych pogrzebów, wyzywani przez polityków od drugiego sortu – mamy tu bezwzględną chwilkę podkreślenia poczucia własnej wartości. Często przechodzący to dzieci, młodzież, matki z dziećmi, osoby z niepełnosprawnościami, staruszkowie. Z zasady nieprowadzący samochodu. Tymczasem różne skody, toyoty, renaulty, też mercedesy czy lexusy szanują nasze pierwszeństwo. Prawie nikt już dzisiaj na przejściu nie przebiega, nie przyspiesza kroku, „żeby kierowcy nie denerwować”. Godnie i honorowo przechodzimy na żadaną stronę. Kilkanaście sekund głaskania naszego ego przez innych. Mimo że są chwilowo w lepszej sytuacji, zachowują się skromnie.

Lubię patrzeć na te fragmenty miejskich pieszych wędrówek. Przez chwile myślę, że mieszkam w kraju demokratycznym.

Krystyna Borysewicz-Charzyńska

Panaceum 07-08/2022